

Antyelitaryzm gubi prawicę



RAFAŁ MATYJA

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

Obóz rządzący kieruje się sprzeciwem wobec wszelkich elit. Odrzucenie myślenia konserwatywno-instytucjonalnego skutkuje zatraceniem świadomości, jaką wartość dla państwa ma ciągłość

„Ten wybór jest częścią większego zjawiska, które od pewnego czasu obserwujemy na scenie politycznej świata. Niektórzy nazywają to dobrą zmianą” – mówiła o zwycięstwie Trumpa premier Beata Szydło. W dalszej części udzielonego tygodnikowi „Do Rzeczy” wywiadu podkreślała, że wygrana Trumpa jest „kalką” polskich wyborów prezydenckich 2015 roku, zwycięstwem, którego „obawiają się przede wszystkim elity”. Te słowa znakomicie oddają emocje całego obozu, który doszedł do władzy jesienią 2015 roku. Kluczową emocją współczesnej polskiej prawicy jest niechęć do establishmentu. Nie tylko postkomunistycznego, nie tylko lewicowo-liberalnego. Każdego.

Premier Szydło podkreśla to na każdym kroku, deklarując „służymy Polakom, nie elitom”. Słuchając tych i podobnych wypowiedzi można mieć nawet wrażenie, że w wyobraźni rządzących oba te zbiory są rozłączne. PiS nie chce, by elity służyły Polakom, by podjęły współpracę z rządem, przyczyniając się choćby do realizacji bardzo trudnej strategii wicepremiera Ma-

teusza Morawieckiego. Miejsce elit w nowym porządku to miejsce rytualnego „chłopca do bicia”, wroga publicznego numer 1. Oczywiście można tłumaczyć, iż emocje takie podsycały wrogie wobec PiS-u wypowiedzi wielu przedstawicieli kręgów opiniotwórczych, powtarzane jak mantra w ostatnich latach. Wypowiedzi wypychające to, co prawicowe i związane z PiS-em poza nawias życia publicznego.

Cementowanie konfliktem

Nie zamierzam usprawiedliwiać prawicy, jednak fakt, że w ostatnich latach przed dojściem do władzy dwie najważniejsze funkcje w państwie, jakie sprawowali jej przedstawiciele to wicemarszałek Sejmu i marszałek województwa podkarpackiego, nie mógł pozostać bez wpływu na jej postawę. Z kolei rzadko zapraszani do publicznej telewizji, stanowiący mniejszość wśród gości wpływowego TVN-u publicyści prawicy uznali, że jedyną strategią przetrwania jest pisanie dla własnych najbardziej zagorzałych zwolenników.

Po wyborach należało się spodziewać raczej osłabienia retoryki antyestablishmentowej, wskazania pól współpracy, określenia ram szerszego kompromisu. Do niczego takiego nie doszło. Przeciwnie, sposób toczenia sporu o Trybunał Konstytucyjny ostentacyjnie lekceważył wszelkie możliwości kompromisu, nawet na poziomie zasad prowadzenia pracy legislacyjnej. Miało boleć. Jarosław Kaczyński scementował „biało-czerwoną drużynę” konfliktem, który uniemożliwiał jej politykom nawiązywanie współpracy z establishmentem.

**Jarosław Kaczyński
scementował „biało-
czerwoną drużynę”
konfliktem, który
uniemożliwiał jej politykom
nawiązywanie współpracy
z establishmentem**

Czynnikami, który umacniał tę orientację było nastawienie wielu ważnych działaczy PiS-u, którzy wiedzieli, iż antyestablishmentowy charakter ugrupowania premiuje ludzi lojalnych i niemających szans na uznanie w szeregach establishmentu. Premiuje tych, którzy potrafią „iść w zaparte” i nie nawiązywać kontaktu intelektualnego z przeciwnikiem. Tak jest wygodniej i dla Nowogrodzkiej, i dla większości osób sprawujących z jej rekomendacji najważniejsze stanowiska.

Fakt, że tak ukształtowana partyjna elita ma kłopoty z rządzeniem jest zmartwieniem z punktu widzenia PiS-u drugorzędym. Ostentacja, z jaką lekceważy

się profesjonalne kryteria doboru kadr nie tylko ośmiela „biernych, miernych, ale wiernych”, lecz daje też gwarancję, że to oni są solą ugrupowania.

Lud vs establishment

Inteligentniejsi publicyści tego obozu próbowali – jak Piotr Skwieciński – podpowiadać taktykę tworzenia nowego establishmentu, nowych elit. To jednak zadanie nie tylko przekraczające umiejętności PiS-u, ale co więcej – absolutnie sprzeczne z jego tożsamością i interesami. W jakimś stopniu dopuszczalne jest oczywiście „skorzystanie z okazji”, indywidualne poprawienie sytuacji materialnej, objęcie lukratywnych stanowisk w spółkach skarbu państwa i mediach publicznych.

Ale na tym koniec. Każdy, kto zacznie budować w obrębie nowych porządków „własne imperium” może skończyć jak Dawid Jackiewicz. Tak brzmi lekcja, której Jarosław Kaczyński udzielił swojej partii jesienią, ryzykując nawet obniżenie jej publicznej reputacji. Celem nie jest tworzenie nowych elit, ale ustanawianie modelu, w którym interes publiczny jest definiowany jako trwale sprzeczny z interesem „establishmentu”.

Prawica zdaje się definiować własne rządy jako oparte o dwie kluczowe zasady. Po pierwsze – chce dokonywać redystrybucji dochodów w interesie „ludu”. Interesie pojmowanym materialnie i doraźnie. Po drugie – chce rządzić wbrew interesom panujących od ćwierćwiecza elit. Swojego udziału w sprawowaniu władzy, tworzeniu zrębów ustroju i jego późniejszych korekt nie pamięta. Każdemu, kto przejdzie na jej stronę zapomni wszystko – nawet tak potępianą służbę w strukturach PRL i członkostwo w rządzie PO. Świat zaczął się 25 października 2015.

Data graniczna

Ta data może być dla nas graniczna z dwóch powodów. Po pierwsze – ze względu na opisane wyżej zjawisko urzędowej amnezji obozu rządzącego. Ale co ważniejsze – także dlatego, że można z nią związać inne zjawisko. Ograniczenie, a być może eliminację kilku pól w polskiej polityce, które do tej pory wywierały na nią istotny wpływ.

Największe z nich to pole postkomunistyczne, które po 25 października ostatecznie rozpadło się na dwa udzielające się w mediach skrzydła: głoszące poglądy podobne do KOD-u i Platformy oraz udzielające mniej lub bardziej ostentacyjnego wsparcia działaniom PiS-u. Pole to, przez lata zręcznie zagospodarowywane przez Millera i Kwaśniewskiego, było ważnym stabilizatorem rynkowej i prounijnej orientacji Polski, a zarazem gwarantem bezpieczeństwa elit Trzeciej Rzeczypospolitej.

Z punktu widzenia niniejszej analizy istotniejszy jest zanik innego pola – umiarkowanej prawicy. Zanik nie w sensie „partyjnym” czy „frakcyjnym”, ale ideowym. W pierwszych latach (2001–2005) PiS był formacją, w której czynnik konserwatywnego instytucjonalizmu był istotnym elementem tożsamości i pomysłów programowych. Po zawiązaniu koalicji z Samoobroną i LPR jego znaczenie osłabło, a w ostatnich latach wątek ten został praktycznie wyeliminowany. Częściowo dlatego, że na scenie politycznej nie było rywala, który głosiłby podobne hasła. Perypetie Polski XXI czy PjN pokazywały, że pole to kurczy się od dawna. Paradoksalnie zresztą, jej najgłębszy kryzys zaczął się w momencie, gdy zdawała się zdobywać apogeum wpływów. Gdy przymierzano się do utworzenia rządu PO-PiS, któremu ton mogliby nadawać politycy tacy jak

Jan Rokita i Ludwik Dorn, Jacek Saryusz-Wolski i Kazimierz Ujazdowski, jak Marek Biernacki i Zyta Gilowska. Wszystko wzięło w łeb, kiedy wskutek pragmatycznej decyzji Donalda Tuska i Jarosława Kaczyńskiego dwie główne partie porzuciły kurs na wspólne rządzenie i zdecydowały się na dyskutowanie tego, co je różni.

Prawica bez umiaru

W tym momencie każdy polityk, którego poglądy mogły przyczynić się do budowania mostów między dwoma ugrupowaniami, traktowany był podejrzliwie. Z czasem zaś – marginalizowany. Co więcej, choć stanowiska PO i PiS-u rozchodziły się coraz bardziej, to wbrew potocznym wyobrażeniom o przestrzeni politycznej – miejsca między tymi partiami było coraz mniej. Nawet arcypragmatyczny Gowin wybrał sobie do eksperymentu partyjnego z Polską Razem egzotyczne tereny łowieckie w pobliżu Korwin-Mikkego i nie próbował poszukiwać „wyborcy PO-PiS”. Zradyzalizował – jak się okazało na chwilę – retorykę antyunijną i wolnorynkową, rozwijając skrót PiS, jako „populizm i socjalizm”. Ugrupowanie, którego politycy domagali się solidarności europejskiej w sprawach Ukrainy, jednym tchem głosiło postulat „małej Unii”, będącej przede wszystkim przestrzenią wolnego handlu.

Po 25 października 2015 r. okazało się, że w polityce przestrzeń umiarkowanej prawicy to jednoosobowy protest Kazimierza Ujazdowskiego w sprawie polityki PiS-u wobec Trybunału Konstytucyjnego i jednoosobowe wotum separatum Jacka Saryusza-Wolskiego od stanowiska Platformy Obywatelskiej w sprawie przetargu na Caracale. To ważny moment nie tyle w historii politycznej, ile ideowej polskiej prawicy.

Pierwsze jej wcielenie – to z lat osiemdziesiątych – przyniosło z sobą wyrazisty program liberalno-konserwatywny, rehabilitujący pojęcie państwa, wolnego rynku, decentralizacji władzy i samorządu, wolnej przedsiębiorczości. W kampanii Lecha Wałęsy i jego bloku prawicowość została zdefiniowana na lata przede wszystkim jako mieszanka postulatów katolickich i związkowych, uzupełniona werbalnym antykomunizmem i zapowiedziami surowej polityki antykorupcyjnej. W praktyce jednak za ostrą retoryką Wałęsy, PC czy ZChN-u szło niewiele. Nawet do przeforsowania ustawy zakazującej aborcji potrzebne było poparcie części Unii Demokratycznej i to jej stanowisko wpłynęło na to, co dziś określamy jako „aborcyjny kompromis”, którego zresztą nie poparło wówczas kilku posłów ZChN-u.

Przyszłość konserwatywnego instytucjonalizmu

Konserwatywny instytucjonalizm znalazł jednak swoje miejsce w szerokiej formule centroprawicy lat 90., mając istotny wpływ na ukształtowanie rozwiązań dotyczących samorządu terytorialnego, modelu funkcjonowania szkół niepublicznych czy politykę kulturalną i historyczną, kontynuowaną także w czasach późniejszych. Środowiska umiarkowanej prawicy wносиły do życia intelektualnego i politycznego krytyczne spojrzenie na charakter narodowy, właściwe nie tylko Stańczykom, ale także wczesnym tekstom Romana Dmowskiego, pesymizm w ocenie natury ludzkiej (choćby odmienne od liberalnego stanowisko w sprawach polityki karnej) oraz – co najważniejsze – specyficzny nacisk na kwestie siły państwa i sprawności jego instytucji. W warstwie krytycznej spotykały się tu zresztą z powszechną na prawicy

lat 90. krytyczną oceną postkomunistycznych porządków.

W kręgu konserwatywnego instytucjonalizmu pojawiły się najciekawsze koncepcje wzmocnienia władzy wykonawczej, usprawnienia centrum rządu, a zarazem krytyki „Polski resortowej” czy pelzającego centralizmu. Zasadniczą orientacją tego nurtu była też walka o możliwie silne wpływy prawicy w establishmencie, a nie antyestablishmentowa ostentacja. Z pewnością taki zamiar towarzyszył rządowi AWS, ale też do pewnego stopnia polityce PO i PiS-u w Sejmie IV kadencji. Dopiero po wyborach 2005 roku i zerwaniu rozmów koalicyjnych rozpoczął się proces, w wyniku którego PO stała się obrońcą establishmentu, a PiS postanowił przejąć elektorat protestu, wspierający wcześniej Samoobronę i LPR.

W pierwszych latach (2001–2005) PiS był formacją, w której czynnik konserwatywnego instytucjonalizmu był istotnym elementem tożsamości i pomysłów programowych

Taka orientacja obu partii eliminowała postulaty prawicowo motywowanego instytucjonalizmu. W Platformie uchodziły one za PiS-owskie odchylenie, którego partia pozbyła się wraz z Janem Rokitą. W PiS-ie były traktowane jako liberalne miazmaty, złudzenia, że o jakości polityki decydują „jakieś instytucje”, a nie „wy-

próbowane kadry”. Ostatnim przed wyborami aktem konserwatywnego instytucjonalizmu była zgłoszona przez Ujazdowskiego idea „pakietu demokratycznego”, która PiS-owi pasowała jedynie instrumentalnie, jako narzędzie do wzmocnienia krytyki rządzącej większości, a która została całkowicie porzucona po zwycięstwie.

Inna prawica jest możliwa

Konserwatywny instytucjonalizm nie pasuje do logiki partyjnej wojny domowej, znoszącej wszelkie wspólne punkty odniesienia. Nie pasuje do antyestabliśmentowej „Międzynarodówki Emocji”, która świętuje zwycięstwo Trumpa. Jego przyszłości nie można zatem wiązać z sukcesami dominującego dziś na prawicy – nie tylko w PiS-ie – nurtu. Ale historia wielu krajów europejskich pokazuje, że mody intelektualne zmieniają się, a praktyka polityczna weryfikowała już znacznie silniejsze nurty od tego, który dominuje w prawicowych tygodnikach, na salonach nowej władzy czy w klubach parlamentarnych PiS-u czy Kukiz’15, w intelek-

tualnym zapleczu rządzącej większości. Zwłaszcza, gdy antysystemowej retoryce parlamentarnej większości towarzyszą całkowicie zgodne z systemową logiką podziały łupów zachowania.

Zaletą konserwatywnego instytucjonalizmu może być nie tylko to, że pozwala na formułowanie zdania odrębnego, argumentowanie za inną polityką, tworzenie przestrzeni, w której można rozsądnie myśleć poza logiką konfliktu. Jego wiara w instytucje skutkuje bowiem także zdolnością proponowania trwałych i szeroko akceptowanych rozwiązań, tworzenia spójnej filozofii rządzenia, która nie jest – jak obecnie – kakofonią sprzecznych deklaracji bez pokrycia. Wbrew pozorom, rywalizacja idei nie przebiega według tych samych reguł, zgodnie z którymi toczy się obecna wojna partii politycznych. Przychożą nowe pokolenia, do gry wchodzi nowi politycy, pojawiają się nowe projekty medialne. Pojawia się intelektualny ferment. Nawet jeżeli jest tak, jak twierdzi wielu, że 25 października 2015 r. otworzył nowy okres w politycznej historii Polski, to z pewnością nie jest to ostatnie takie otwarcie.